

Kolonia i misja polska w Londynie.

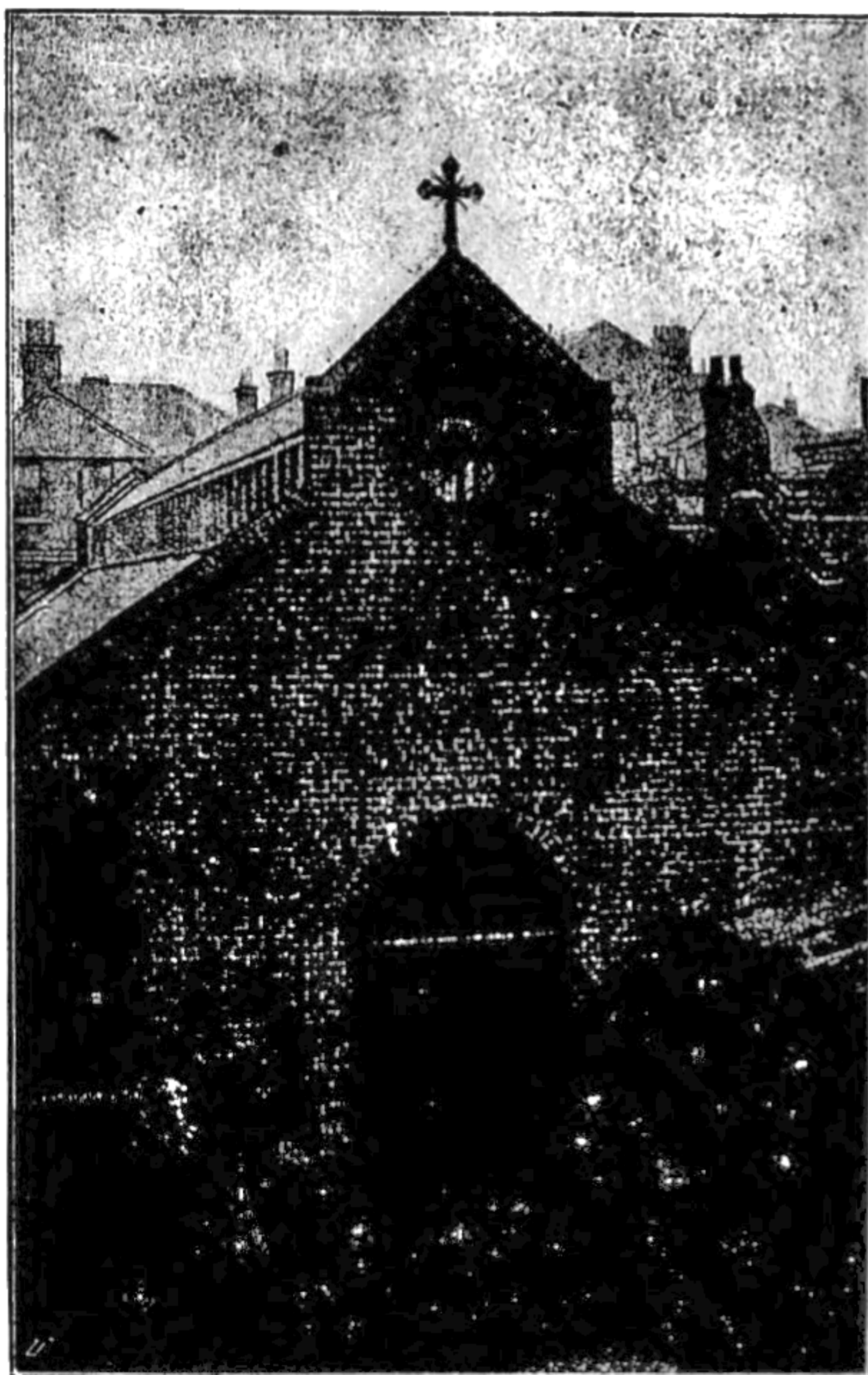


jesieni roku zeszłego poświęcił arcybiskup westminsterski, Vaughan, polski kościółek pod wezwaniem św. Kazimierza i św. Józefa w Londynie, i nareszcie, po wielu latach niepewnych, a nawet burzliwych kolei losu, misja polska ustaliła swój byt i okazalszą przybrała postać. Kościółek, wzniesiony z inicjatywy kapituły i zakonu Miłości Boskiej w Sèvres pod Paryżem, rękoma braciszków Polaków, kryje się we wschodniej, przez proletaryat zamieszkaney dzielnicy miasta, w t. z. East-end'zie, składającym się na dziwaczną i ciekawą mozaikę ludzi, z najrozmaitszych sfer geograficznych i duchowych, w którą wplata się około trzech tysięcy rękodzielników polskich i litewskich.

Nie strzelają tutaj ku niebiosom dumne wieżycy gotyckie, świątynia nie wabi oczu przechodnia pięknoscią architektury; ulica niewidoczna, osiadła cichutko pomiędzy stekiem zabudowań, niby grono ludzi, którym służy, przysłonięte przed światem ogromnymi murami angielskiej społeczności. Jedynie furta klasztorna, oraz napis: „Roman Catholic Church.“ wskazują nam z ulicy istnienie swojskiego zakątka, gdzie w niedziele i święta rozbrzmiewają pienia polskich i litewskich pieśni i zlewają się w jeden harmonijny akord. Trzej gołębiego serca zakonnicy, stojący przy boku O. Antoniego Lejcherta i jego zastępcy ks. Józefa Bakanowskiego, krzątają się zawsze jeszcze w dni powszednie około kościołka, tynkując lub malując ściany, naprawiając łupkowany dach, lub sadząc kwiaty opodal wejścia, jakoż przedstawia się on jasno, schludnie, pokaźnie. Ponad skromnym ołtarzem obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, na ścianach dwa z Krakowa nadesłane płótna św. Patronów, przestrzeń wypełniona ławkami i klęcznikami. Około trzystu osób może pomieścić się w jaskrawych murach kościołka, ale w święta bywa tutaj ciasno, i nabożny lud wylega aż przed front, przypominający dzwonnice, na niewielki dziedziniec, odgradzony murem od zakładów fabrycznych.

Do świątyni tuli się z boku murowana szopa z przyborami rzemieślniczymi, a nad wszystkim czuwa plebania o czterech pokojach, mieszcząca sypialnię plebana, braciszków, tudzież kancelaryę.

Do sumie gwarno i rojno na podwórzu, lud obiega błędza z prośbą o ślub, pogrzeb lub



Kościół ŚŚ. Józefa i Kazimierza w Londynie.

chrzciny, gwarzy między sobą, na grupy rozbity, niby przed nadwiślańskim kościołkiem.

Tu Litwin opowiada znajomym o przyjeźdźnych, tam niewiasta radzi się o coś polskiej zakonnicy, Nazaretanki, przywdzianej czarno, z twarzą pogodną, ujętą w ramy białego płótna.

Niema zakątka ziem polskich, który nie miałby w tem zgromadzeniu swego przedstawiciela. Ileż tu twarzy o rysach dobrze nam znanych!

Ale próżno szukałbyś tu zgrzebnej koszuli, sukmany lub siermięgi: wszyscy przybrani po miejsku, dostatnio, z angielską...

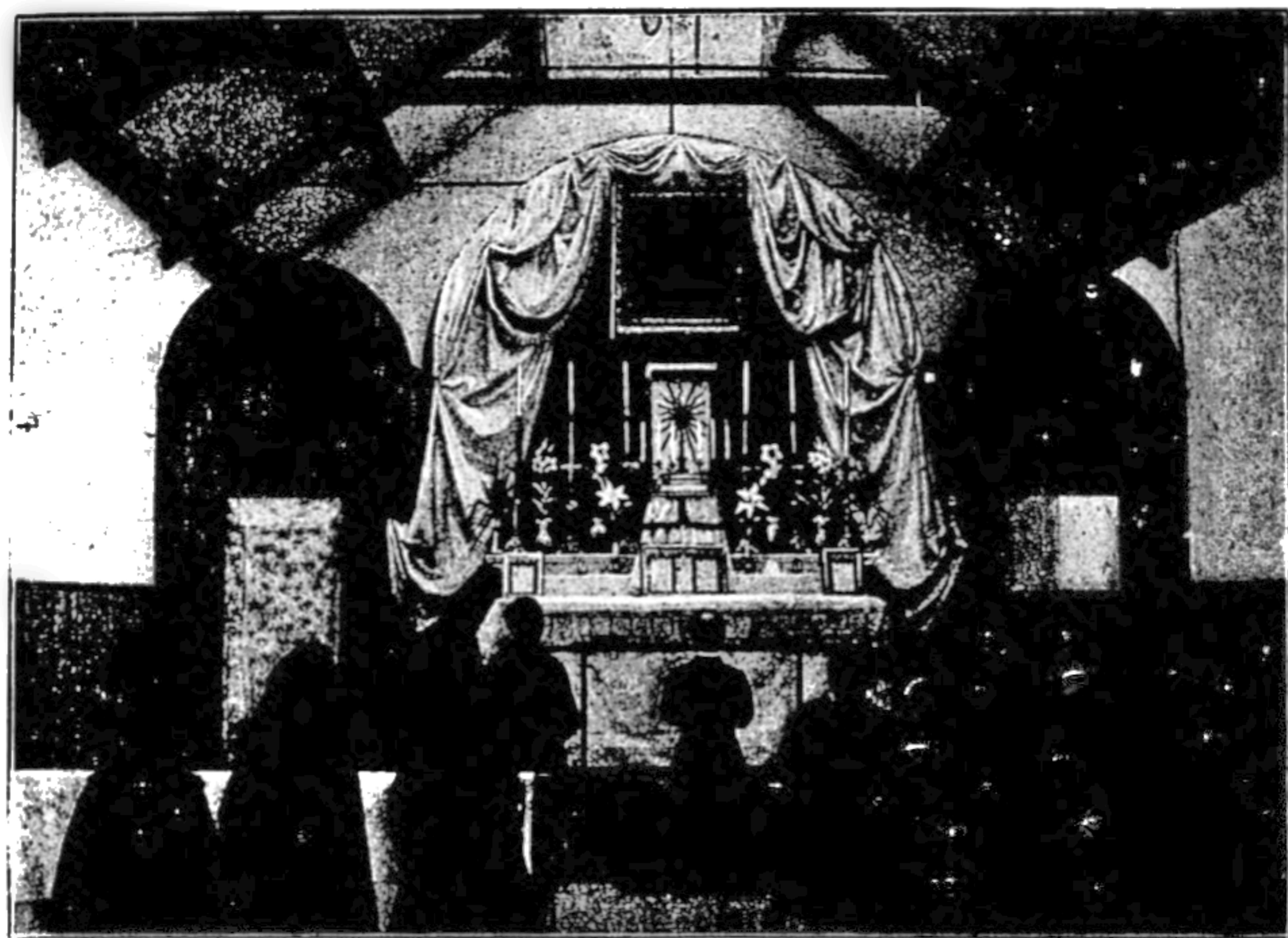
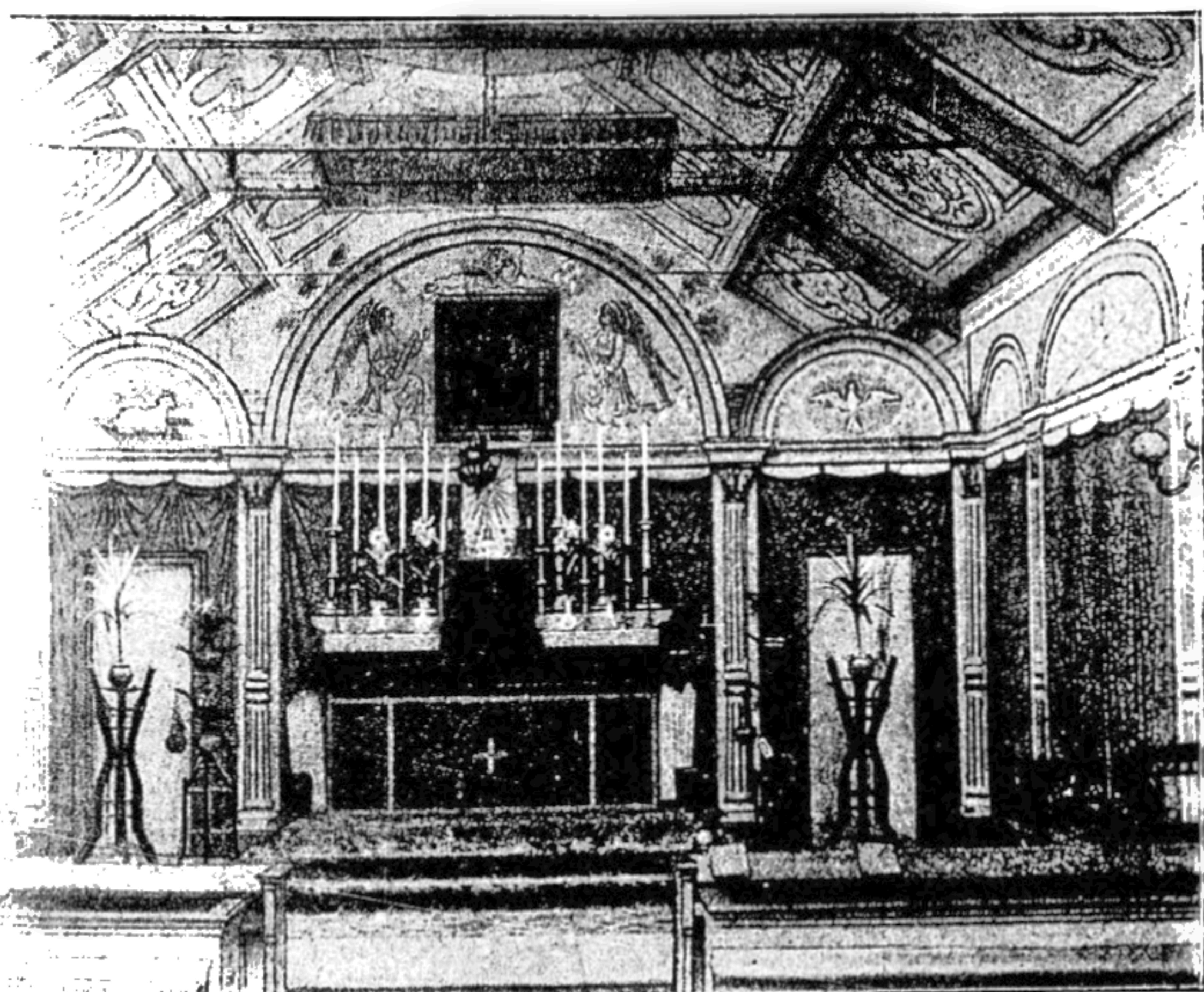
Uderza nas liczny zastęp Litwinów z pod Kowna, Suwałk i Łomży, gdzie panuje stały, lubo nie tłumny ruch emigracyjny na ziemię angielską, utrzymywany i podsycany przez emigrantów, którym się dobrze dzieje. Fabryki Manchestru, oraz

sąsiednich ognisk fabrycznych, zatrudniają znaczną liczbą tych wychodźców, nad Tamizą zaś gnieźdzą się oni gremialnie w podmiejskich osadach Silvertown i Woolwich. Z górą pięćinset ludzi łotewskiej mowy pracuje tam w gazowni i cukrowni, prócz kilkudziesięciu kamieniarzy i grona krawców, zatrudnionych przez wielkie magazyny. Kolonia ta, odsunięta nieco od polskiej, pędzi żywot odrębny i wogóle korzystniejszy wywiera wrażenie. Właściciel cukrowni daje o niej pochlebne świadectwo i widocznie ceni sobie cichego, punktualnego i pracowitego robotnika łotewskiego. Zarabia on średnio trzydzieści szylingów, czyli piętnaście rubli tygodniowo, w czystym i higienicznym pomieszkaniu jego uwija się dziatwa czerstwa i porządnie ubrana; wszędzie znać pewien dostatek. W razie choroby, lud ten ma pomoc lekarza, szkoła mówiącego po polsku, nadto szpital, wreszcie opiekę ze strony sióstr Nazaretanek. Wszyscy robotnicy fabryczni zabezpieczeni są przez właściciela w towarzystwie asekuracyjnym, a nie ograniczając się tem, sami utworzyli kasę bratniej pomocy, tak, że niemocą złożony pobiera około dwudziestu szylingów tygodniowo.

W sobotę po pracy tłum mężczyzn napływa do nędznego, zabrukanego szynku, który—lubo nie słychać w nim języka polskiego—nosi nazwę: „Polish Working Men's Club.“ Litwin o fizygnomii, nie wzbudzającej zaufania, szynkuje dużo piwa, ale mimo to, ani kłótnia ani bójka nie zakłóca ciszy, panującej wokoło klubu. Wogóle Litwin góruje pod wielu względami nad brutalnym angielskim robotnikiem; odznacza się tak, jak Polak, pewną ogładą i statecznością w obejściu, co zastanawia tem więcej, że w skład tej kolonii wchodzi znaczna liczba ludzi z ciemną przeszłością, a „East-end.“ zbiorowisko różnych szumowin społecznych, nie wpływa bodaj umoralniająco na żywioły napływowe. Ale skutkiem nieznanomości języka krajowego przepaść dzieli ten lud od świata angielskiego; robotnicy żyją i żenią się w swej gromadzie, a pieniądź zdaje się być ich wielkim cywilizatorem.

Na przedmieściach rzadko napotkać można Polaka, kolonia bowiem rozproszyła się po całym wielkim obszarze wschodniego Londynu i innych dzielnicach, rekrutuje się przeważnie z ludu miejskiego i nosi odmienny charakter.

Wielu emigrantów pracuje w warsztatach



Wnętrze kościoła ŚŚ. Józefa i Kazimierza w Londynie.